



HELENA SEKUŁA



**ŚWIECZNIK
MAURÓW**

Helena Sekuła

ŚWIECZNIK MAURÓW

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-12-8

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

SKOPOLAMINA

Bezksiężycowa, parna noc.

Śpiący mężczyzna prostuje ramiona, wyciąga się na posłaniu. Gorąco. Stary kasztan okrywa gęstwą liści dom i wdziera się konarami w otwarte okno. Nagle od drzewa oddziela się, prawie niewidoczny w panującym mroku, cień ludzkiej sylwetki. Przechyla się przez parapet, dosięga podłogi. Delikatny szmer i znowu zapada cisza, pełna bezruchu, bez najłżejszego powiewu wiatru.

Z prostokąta okna znikł przewieszający się konar, a może przerodził się w ten niewyraźny kontur, który teraz wolno, ostrożnie przesuwają się w pobliżu ściany? Ciemna sylwetka skrada się miękki, kocimi ruchami. Przesuwają się dalej, ciągle bez najłżejszego szmeru. Ciche stąpienia głośno do reszty miękki, puszysty dywan zaścielający środek pokoju. Cień znika za uchylonymi drzwiami prowadzącymi w głąb domu, lecz po chwili wynurza się znowu, zatrzymuje w progu i znów sunie jak widmo po przeciwnej stronie pokoju.

W sąsiednim pomieszczeniu, za uchylonymi drzwiami, poruszył się śpiący mężczyzna – skrzyknęły sprężyny tapczanu.

Cień zamiera w bezruchu, wydaje się częścią, wypukłością ściany. Przyczają się, wstrzymuje oddech, cały jest słuchem, wyczulonymi zmysłami. Znowu cisza wypełniona tylko oszalałym cykaniem świerszczy w ogrodzie. Cień odrywa się od ściany, wyciąga przed siebie dłoń w miękkiej rękawiczce i w tym momencie źle postawiona stopa potraça jakiś przedmiot, który spadając rozdziera ciszę. Długa, jak wieczność, sekunda lęku paraliżuje nocnego intruza.

Trzask pchniętych z rozmachem szklanych drzwi, majaczy w nich sylwetka barczystego mężczyzny.

– Kto tu jest!!! – woła mężczyzna, ręką odnajduje kontakt, rozlega się trzask tastera, ale światło nie zapala się.

Człowiek-widmo już nie stara się być bezszelestnym. Od otwartego okna dzieli go przestrzeń połowy pokoju. Biegnie potraćając sprzęty i w chwili, gdy tamten usiłuje zagrozić mu drogę, błyskawicznym ciosem w lewą skroń wali go na ziemię.

Mężczyzna wydaje krótki, chrapliwy krzyk i ciężko pada na dywan. Droga do okna jest wolna, człowiek-cień wskakuje na parapet i po chwili znika wśród krzewów ogrodu. Ściga go histeryczny kobiecy krzyk: – Ratunku!!! Bandyci!!!

W sąsiednim pokoju zawodzi kobieta obudzona odgłosem walki. Słyszy szamotanie i stuk padającego ciała. Próbuje zapalić światło, lecz lampka przy tapczanie nie działa. Panująca ciemność napawa ją przerażeniem, nie ma odwagi przekroczyć szklanych drzwi.

Tymczasem mężczyzna otwiera oczy, powoli dźwiga się z podłogi, jest silnie oszołomiony otrzymanym ciosem. Opierając się o ściany idzie uspokoić kobietę; nieznosnie wwierca mu się w mózg ten jej przeraźliwy krzyk.

Słychać gwałtowne, niecierpliwie dobijanie się do drzwi. Mężczyzna po omacku odnajduje zapalki i rusza, aby otworzyć.

– Nie zostawiaj mnie! – błaga kobieta uczeplona jego ramienia.

Na progu stoi człowiek w piżamie.

– Na Boga, co się tu u was dzieje?!!! Coś z Dorotą? – woła człowiek w piżamie.

– Spłoszyłem złodzieja – wyjaśnia mężczyzna. – Zajmij się nią, dostała ataku hysterii ze strachu – łagodnie popycha kobietę w stronę tamtego. Sam odnajduje świece i jedną wnosi do pokoju, w którym są tamci. Wraca do korytarza i majstruje przy bezpiecznikach. Po chwili rozbłyskuje światło.

Mężczyzna podnosi z podłogi strącony telefon – prawdopodobnie o jego sznur potknął się złodziej – i alarmuje pogotowie milicyjne. Mówi, co się stało.

– Profesor Antoni Watmar... ulica Korolowa – notuje dyżurny. – Natychmiast wysyłam radiowóz i oficerów dochodzeniowych – zapewnia.

– Co pan posiada do oclenia? – machinalnie zapytał celnik, nawet nie patrząc na stojącego przed nim mężczyznę.

– Nic – odpowiedział zapytany i bez żądania otworzył walizkę ze świńskiej skóry. Celnik pobieżnie przejrzał zawartość; bielizna, ubranie – ściśle osobiste rzeczy. Na samym wierzchu leżał siedmioramienny świecznik z pociemniałego metalu, pokryty patyną.

– Srebro? – pytanie zadane było na wszelki wypadek, bowiem faktura przedmiotu w żadnym wypadku nie przypominała srebra.

– Braż – wyjaśnił właściciel i ujmując za podstawę uniósł kandelabr, przybliżając go do celnika.

Siedem wysmukłych ramion wyrastało asymetrycznie ze zdobionego damaskiną wieloboku. Każde z nich pięło się grubymi spiralami ku górze; wierzchołki przeznaczone do osadzenia świec miały niezwykle zwieńczenia, jakby rozwartych paszczy. Każde ramię przedstawiało stylizowanego węża. Ich pierścienie całkowicie pokrywał bogaty, a jednocześnie bardzo subtelny rysunek, wyczelowany delikatnymi, pajęczymi liniami. Ornament zdradzał wysoki kunszt i bogactwo wyobraźni rytownika.

– Antyk? – zaniepokoił się celnik.

– Nie – uśmiechnął się właściciel. – To dzieło współczesnego mistrza. – Proszę! – sięgnął do portfela – oto dowód kupna.

Istotnie, był to rachunek wystawiony przez zakład rzemieślniczy: *Za wykonanie w brązie świecznika dla pana profesora Antoniego Watmara*. Dokument zawierał dokładny opis kształtu lichtarza, specyfikację z cenami za każdy detal i następnie łączną sumę. Na końcu widniał podpis i pieczęć zakładu.

Celnik nie sprawdzał rachunku, podziękował i profesor Watmar opuścił komorę celną, a ponieważ miał jeszcze nieco czasu, wszedł do restauracji portu lotniczego na Okęciu.

Niebawem megafony zapowiedziały odlot samolotu do Paryża, przez Berlin – Brukselę.

Profesor Watmar w grupie ludzi pośpieszył na płytę lotniska. Na pasie startowym migotała w porannym słońcu wysmukła srebrna caravella linii Air France.

Przy trapie dogoniła profesora duża kobieta w jasnym kostiumie z tweedu.

– Sprytnie wymyśliłeś z tym... rachunkiem – orzekła z podziwem. Jej umalowane, mięsiste wargi okraślił przebiegły uśmiezek. Watmar – ze stopą już na pierwszym stopniu – zatrzymał się, zrobił półobrót i pochylił twarz ku kobiecie – był wyższy od niej o głowę. Zmierzył ją nieruchomym, surowym spojrzeniem. Przez chwilę ważył odpowiedź.

Nie wytrzymała nieprzyjaznego, pogardliwego wyrazu twarzy mężczyzny i umknęła oczyma w bok. Watmar, w przyptywie nagłego zniechęcenia, odwrócił głowę i tylko lekceważąco strzepnął palcami. W milczeniu ruszył w górę, nawet nie oglądając się na postępującą za nim kobietę. Ona też nie odezwała się już ani słowem.

W drzwiach samolotu powitała ich zawodowym uśmiechem stewardessa.

Pani w tweedowym kostiumie zajęła fotel przed Watmarem. Zdjęła zakiet, rozlokowała obok siebie jakieś drobiazgi. Później wyciągnęła z neseseru kartonową teczkę. Zaszleściły kartki grubego maszynopisu i niebawem kobieta pograżyła się w lekturze manuskryptu.

Profesor ściągnął płaszcz i niedbale przewiesił go przez oparcie.

Inni pasażerowie lokowali się na swoich miejscach, rozkładali czasopisma.

– W Paryżu, i to zaraz na lotnisku, zapraszam panią i profesora na rewanżowy koniak – zatrzymał się przy kobiecie w tweedzie przechodzący mężczyzna.

Skwitowała jego propozycję roztargnionym skinieniem głowy, profesor zrobił łobuzerskie oko.

Z głośnika rozległo się w trzech językach:

– W imieniu Air France serdecznie witamy państwa na pokładzie naszego samolotu. Życzymy wszystkim miłej podróży! – Dalej nastąpiły informacje, na jakiej wysokości będą lecieli, jakim szlakiem komunikacyjnym, opisano również zalety i luksusy srebrzystej caravelli.

– Szalenie skrupulatni, wszystko nam wypominają – westchnęła kobieta w tweedzie, nie odrywając oczu od czytanego tekstu.

Rozbłysły czerwone napisy: *zapiąć pasy!* Przez kadłub statku przebiegło drżenie. Rozległ się zdławiony ryk motorów. Samolot łagodnie wzbił się ku górze, aż osiągnął zapowiadziany przez pilota pułap.

Kobieta odchyliła głowę na oparcie.

Przekręciła twarz na bok, przywarła policzkiem do obicia.

– Źle się czujesz? – zapytał Watmar i spojrzał uważnie. Była blada, na czole pojawiły się kropelki potu.

– Idiotyczna historia – mruknęła ze złością. – Widocznie źle zniosłam start tego najlepszego na świecie samolotu, jeżeli wierzyć zapewnieniom załogi. Nigdy nie miałam tego rodzaju sensacji... wprawdzie nigdy dotąd nie leciałam odrzutowcem...

Czujna stewardessa już była przy nich. Nadpłynęła – trudno to inaczej określić – ze szklanką wody w dłoni. Podała pasażerce białą tabletkę.

– Zaraz minie – zapewniła kobietę. – Pewno pani jest głodna, zaraz podam śniadanie. Pan też sobie życzy? – zwróciła się do Watmara, podsuwając mu podobną pigułkę. Widocznie jednak niezupełnie ufała właściwościom caravelli wykluczającym chorobę powietrzną.

– Co to jest? – chciał wiedzieć Watmar.

– Vasano, preparat przeciw... – odpowiedziała stewardessa tonem jakby mówiła: – kochany.

– Wolę śniadanie – przerwał jej ze śmiechem Watmar.

Stewardessa odeszła na swych niebezpiecznie wysokich obcasach. Kobieta poczuła się lepiej i znów zajęła się lekturą. Jeden z pasażerów, przechodząc w tył samolotu, uśmiechnął się do Watmara, zawadziwszy nogą o niedbale zwisający płaszcz profesora. Watmar przeprosił i zgarnął swoje okrycie. Z kieszeni z brzękiem wyleciały klucze spięte spiralnym kółeczkiem. Pasażer schylił się i wręczył je Watmarowi.

Stewardessa zaczęła podawać śniadanie – od startu upłynęło dziesięć minut. Na bajecznie kolorowych tackach roznosiła porcje nadziewanego kurczęcia w przejrzystej galarecie garniowanej owocami, sardynki, koreczki z kaparami, mikroskopijne kanapeczki z kawiozem.

Gdy już wszyscy pasażerowie zostali obdzieleni tackami, dziewczyna w mundurze Air France zaczęła serwować trunki; Watmar poprosił o armagnac. Zajadał z apetytem wszystko, czym zastawiona była tacka. Do kawy, aromatycznej i mocnej, również poprosił o koniak, rezygnując z likierów proponowanych przez stewardessę.

– Myślałam, że nic nie zdołam przełknąć – głośno zdziwiła się kobieta w tweedowym kostiumie i odstawiła pustą tackę. Trzymając w dłoni kieliszek z koniakiem obejrzała się na profesora – Watmar tymczasem usnął.

Samolot w pełnym słońcu leciał nad chmurami.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY ZA ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI